

W naszej tegorocznej, letniej wyprawie po Bałkanach, po zwiedzeniu Rumunii, Bułgarii, Turcji, Macedonii i Albanii, dotarliśmy w końcu do Kosowa. To, jakże młode państwo o skomplikowanej historii i kontrowersyjnym statusie, było dla nas magnesem, któremu nie mogliśmy się oprzeć. Teraz nasza ciekawość miała zostać zaspokojona.

Wjeżdżaliśmy do Kosowa od strony Albanii. Na granicy należy uiścić 40 euro za ubezpieczenie auta, gdyż młoda kosowska republika na razie nie uznaje zielonej karty. Kosowarzy już na granicy zrobili na nas miłe wrażenie. Byli uprzejmi i zapraszali do poznania ich kraju. Spotkaliśmy tutaj też słowackiego celnika Pavla, który wytłumaczył nam obecną sytuację w kraju i niestety potwierdził nasze wcześniejsze informacje, że możemy mieć olbrzymie trudności z przekroczeniem granicy serbskiej. Celnicy w Serbii nie wpuszczają cudzoziemców wjeżdżających od strony Kosowa, gdyż wjazd na kosowskie terytorium uważają za nielegalne przekroczenie granicy. Cały czas mieliśmy jednak nadzieję, że może warto spróbować, dlatego słuchając rad niektórych globtroterów z internetowych portali postanowiliśmy poprosić o nie wbijanie kosowskiej pieczęci w paszportach, co miało dać nam cień szansy na wjazd do Serbii. Nasze prośby zostały spełnione ze zrozumieniem, za co podziękowaliśmy.

Po przekroczeniu granicy krajobraz przypominał znane widoki z Albanii. Dość dobre drogi, same murowane domy, sporo stacji benzynowych, prowizoryczne, przydrożne myjnie, wszędzie widoczne albańskie flagi. Od razu nasunęło nam się pytanie - A gdzie flagi Kosowa? Wydawało nam się, że nowa republika będzie się szczyliła na każdym kroku swoją niezależnością i swoimi symbolami państwowymi, a tymczasem można odnieść wrażenie, że to terytorium Albanii. Przydrożne krzyże i cmentarze, obiekty przemysłowe, stacje paliw, czy przejeżdżające auta, wszystkie te miejsca i obiekty oznaczone były czerwonymi sztandarami z dwugłowym, czarnym orłem. Dopiero w Prisztinie na budynkach użyteczności publicznej dostrzegliśmy - wyglądającą na tymczasową - flagę Kosowa (mapka kraju na niebieskim tle, pośród żółtych, unijnych gwiazdek), ale tuż obok widniały flagi Unii Europejskiej i oczywiście albańska.

Mając trochę wiedzy o historii tego kraju i na podstawie tych pierwszych, naocznych obserwacji, nasunęły nam się wątpliwości czy kosowska wojna o niepodległość nie przebiega według planu, który przewiduje, że po początkowej separacji i uniezależnienia się od Serbii, w kolejnym kroku dojdzie do jednoznacznego mariażu z Albanią. Miejmy nadzieję, że to tylko nasze zmęczone upałem umysły, kreuują takie czarne scenariusze. Nietrudno bowiem sobie wyobrazić, że gdyby tak się stało, to kolejna wojna na Bałkanach zaczęłaby się na nowo.

Dzisiaj jest to kraj pod protektoratem ONZ, ale od czasu nalotów NATO

na serbskie cele, które zmusiły ten kraj do wycofania się ze spornego terytorium, siły pokojowe były także świadkiem działań odwetowych kosowskich Albańczyków. Tuż po zakończeniu działań wojennych w 1999 roku albańskie oddziały partyzanckie dokonywały czystek etnicznych na terenie Kosowa. Niszczono serbskie wioski, cygańskie osady, cerkwie i niechciane pomniki, strzelając do nich między innymi z moździerzy. Obecne tam międzynarodowe siły KFOR (Kosovo Forces) nie były w stanie temu przeciwdziałać, dbając w pierwszej kolejności o swoje bezpieczeństwo. Albańska UÇK doprowadziła wówczas do wysiedlenia ok. 300 tysięcy Serbów i zniszczenia ponad 150 świątyń prawosławnych.

Z kolei w 2004 roku kosowscy Albańczycy przeprowadzili tzw. pogromy marcowe, podczas których, pomimo ochrony KFOR-u, na terenie enklaw serbskich dokonywali mordów i zniszczeń. Głośną i niezmiernie bulwersującą sprawą jest też proceder wywożenia pojmanych Serbów do Albanii w celu wykorzystywania ich jako dawców narządów wewnętrznych, co do dzisiaj nie jest do końca wyjaśnione.

Rozmyślając nad istotą kosowskiego państwa o mało co nie przejechalibyśmy przechodzącego przez jezdnię żółwia, którego asekurował mały ptaszek, chyba jemiołuszka. Odebraliśmy to jako znak - tu należy stale uważać. Od razu też zwróciliśmy uwagę na znaki wojskowe z czołgami, które można było podziwiać przed każdym mostem. Jak widać, siły KFOR ciągle są obecne tutaj i jest to terytorium działań wojskowych.

Szczęśliwie dojechaliśmy jednak do Prizren. Z kamiennego mostu nad rzeczką wzdłuż drogi roztacza się wspaniały widok na wzgórze z twierdzą oraz na świątynie różnych religii, czyli meczet, kościół i cerkiew, co jest charakterystyczne dla wielu krajów bałkańskich. Niestety świątynie chrześcijańskie bardzo ucierpiały w 2004 roku na skutek zniszczeń dokonanych przez żądnych odwetu islamskich bojowników o albańskich korzeniach.

Miasto jest znane z tego, że powstała tutaj w 1878 roku tzw. Liga Prizreńska, organizacja zmierzająca do zachowania integralności ziem zamieszkanych przez ludność albańską, a zagrożonych rozbiorem przez państwa słowiańskie. Ta wiedza sprawia, że czujemy się tu trochę obco. Niestety nie mamy też za dużo czasu na spacer i zwiedzanie, gdyż musimy jechać dalej, by przed nocą dotrzeć do Prisztiny.

Stolica Kosowa to ponad półmilionowe, wyglądające na ubogie, zatłoczone, ale i odbudowujące się miasto. Sporo zrujnowanych i zaniedbanych domów. Straszliwe korki, auta ściśnięte na drodze jak sardynki w puszce, co przy braku wytyczonych pasów jest nie lada wyzwaniem nawet dla wytrawnego kierowcy. Koszmarem okazała się informacja od naszej nawigacji, która za centrum wybrała środek stromej ulicy, jak się okazało później, przy wylocie z miasta. Gdy

zdaliśmy sobie z tego sprawę, tkwiliśmy w miejscu na hamulcu ręcznym, by się nie stoczyć w tył, otoczeni zewsząd autami na tzw. styk. Jakimś cudem udało nam się po kilkunastu minutach wspiać się wyżej do najbliższej uliczki w prawo, w którą wjechaliśmy z nadzieją powrotu do centrum miasta. Manewr okazał się właściwy. Zaparkowaliśmy samochód niedaleko meczetu i wieży zegarowej, po czym udaliśmy się na szukanie czegoś do zjedzenia.

W pobliżu znajdowało się muzeum miejskie, ale już było zamknięte. Podobno jego główną atrakcją jest stara, gliniana figurka, będąca symbolem miasta. Po zjedzeniu smacznych kebabów w ulicznym barze, ruszyliśmy na spacer główną Aleją Matki Teresy. U jej początku z prawej strony widać pomnik Skanderbega, a za nim nowoczesne, rządowe biurowce wybudowane za pieniądze unijne. Po lewej stronie dominują dźwigi nad ruinami Hotelu Union, który ma zostać odbudowany. Za nim znajduje się czynny teatr.

Dalej naszą uwagę przykuły fotografie osób wywieszane na ogrodzeniu budynku publicznego. Większość z nich była już całkowicie wyblakła. Obok rzędu zdjęć widnieje tablica po albańsku. Jak się później dowiedzieliśmy to fotografie zaginionych osób podczas wojny z 1999 roku. Do tej pory ich rodziny mają nadzieję na ich powrót, dlatego część wypłowiałych fotografii jest wymieniana co jakiś czas na nowe. Na ścianie jednej z kamienic dostrzegamy też znacznie większe, wymalowane portrety nieznanym nam osobom. To z kolei bohaterowie walki o niepodległość Kosowa. W drodze powrotnej stajemy przy pomniku, który przypomina socrealistyczne realizacje. To nie jedyna w mieście pozostałość po serbskich czasach.

Na głównej ulicy widać, że mieszkańcy Prisztiny starają się żyć normalnie. Dzieci jeżdżą na rolkach, młode dziewczyny dobierają nowe okulary na straganikach, uśmiechnięte pary spacerują w promieniach zachodzącego słońca. Aż trudno sobie wyobrazić, ile wyrzeczeń musieli oni ponieść i jak wiele nieszczęść doświadczyć, by teraz tak spokojnie, ciepłym wieczorem móc się przechadzać po stolicy swego państwa.

Czas znaleźć nocleg, bo już nastał zmierzch nad miastem. Pytamy w barze o jakiś niedrogi hotel. Dostajemy informację, że w pobliżu jest niejaki hotel Sara o przystępnych cenach. Błądzimy po uliczkach, mijamy targowisko, na którym swoje stragany porządkują miejscowi handlarze. Hotelu ani widu, ani słyhu. Kolejny zapytany przechodzień wskazuje nam drogę twierdząc że to tylko kilkaset metrów. W końcu widzimy napis „hotel”, ale o nazwie Roma. Niestety jest nieczynny. Kolejne zapytanie o drogę, na szczęście pomaga nam w dotarciu do Sary.

W hotelu na szczęście obsługa mówi po angielsku. Dowiadujemy się, że możemy dostać double room za 60 euro bez śniadania, a to i tak bardzo

przystępna cena jak na Prisztinę, w której hoteli jest jak na lekarstwo, a te co udało się uruchomić oblegane są przez pracowników misji pokojowej. Bierzymy co jest, w nadziei na możliwość odświeżenia się po męczącej drodze w tak upalny dzień, a potem na spokojny sen. Młody mężczyzna z hotelu okazuje się tak miły, że udaje się ze mną do auta, bym mógł zaparkować w bramie hotelowej. Całe szczęście, bo właśnie zastanawiałem się jak do niego trafię. Podczas przechadzki i krótkiej przejażdżki dowiaduje się od mojego rozmówcy sporo o sytuacji w Kosowie. Na moje pytanie o możliwość przekroczenia granicy z Serbią, sugeruje udanie się do Mitrowicy, która jest podzielonym miastem na część kosowską i serbską, dlatego tam podobno łatwiej można się przedostać do Serbii, nawet bez kontroli granicznej. Jutro zdecydujemy co robić.

Mając na uwadze ewentualne problemy graniczne, wyruszamy rano w kierunku Serbii do najbliższego przejścia granicznego. Mieliśmy kilka możliwości. Pierwsza - udanie się do odległej Mitrowicy, jak nam radził hotelarz, jednak gdyby nam się nie udało to mamy cały dzień z głowy i długi powrót do Prisztiny a potem do Macedonii, czyli na południe, choć nasz kraj rodzinny, do którego zamierzamy wracać znajduje się na północy od Kosowa. Druga - bezpośredni zwrot w dół do Skopje i wjazd do Serbii od strony Macedonii. Trzecia - próba przekroczenia najbliższej granicy serbskiej i sprawdzenie na własnej skórze czy to nie strachy na lachy z tymi problemami czynionymi przez Serbów.

Wybraliśmy trzecie rozwiązanie, ale niestety serbscy pogranicznicy grzecznie, choć stanowczo zasugerowali nam powrót do Macedonii. Oficjalnie argumentowali to tym, że jesteśmy na terenie Serbii, a nie mamy ich pieczęci wjazdowych. Trochę im to czasu zajęło. Skierowali nas na boczny pas, bo nie znaleźli pieczęci kosowskich. Pewnie gdybyśmy mieli te stemple od razu wskazali by nam drogę powrotną, a tak chyba musieli się naradzić na posterunku bez naszej obecności. Suma sumarum straciliśmy na tej próbie ok. 2 godzin i z powrotem znaleźliśmy się w Prisztinie, by kontynuować naszą podróż do Polski jadąc teraz na południe. Tak to już bywa, że czasem, aby zrobić dwa kroki do przodu trzeba najpierw zrobić krok do tyłu.

Podczas jazdy w kierunku Skopje znaleźliśmy się nagle w orszaku weselnym aut, których kierowcy trąbili, migali światłami, a pasażerowie machali z okien białymi chustami. Przyjęliśmy to za dobry omen na powrotną drogę i przez jakiś czas włączyliśmy się w ten ślubny rytuał, z wolna wyprzedzając kolejne auta. Na czele kolumny oczywiście był samochód z olbrzymią albańską flagą.

Pisząc tę relację już w domu, w kilka dni po powrocie, słyszę właśnie w telewizji, że Trybunał Haski uznał deklarację niepodległości Kosowa z 2008 roku za legalną. Cały proces odbywał się na wniosek Serbii.

Zapewne teraz kosowską republikę poprze więcej krajów, choć prezydent Serbii już teraz zadeklarował, że jego naród nigdy tego nie zrobi. Pewnie Hiszpania, która ma problem z separatyzmem Basków i inne państwa z podobnymi problemami, też tego nie uczynią. Polska, jak wiadomo, uznała niepodległość Kosowa, jako jeden z pierwszych krajów, o czym Kosowarzy dobrze wiedzą i o tym pamiętają. Stąd zapewne jest sporo życzliwości dla nas w tym niewielkim kraju.